



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

wartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmid'a kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek.

OBİÖR ZOROASTRA.

(Legenda perska).

Na tronie w chmurach, gdzie piorun się żarzy,
Siadł Ormuzd, dobry duch i pan stworzenia;
Obok aniołów stanął chór na straży
I witał Pana hymnem uwielbienia.
Lecz Bóg nie patrzy na chóry aniołów:
Z całej postawy, z oblicza wyrazu
Widać myśl jakas cięży mu, jak olów,
I Ormuzd milczy, — chór czeka rozkazu.
Skinął: podchodzi anioł Wohu-Mano,
Powiernik myśli i posłaniec Boży,
I rzecze: „Duchu, co potęgą słowa
Chcesz świat uwolnić ze zwątpień obroży,
Patrz, oto człowiek z twarzą pooraną
Długiem cierpieniem przed tobą tu stoi.
To Zoroaster; z ziemi go przywiodłem,
Z rozkazu twego, do niebios podwoi!
Ze wszystkich ludzi, co żyją tam w dole,
On jeden niczem nie skalany podłem,
Gwiazda męczeństwa świeci mu na czole,
A w piersiach tyle ma boskiej potęgi,
Że godzin twego zakonu nieść księgi,
Wiarę twą krzewić na ziemskim padole“.

Tu powstał Ormuzd i do Wohu-Mano
Rzekł: „A czy wiesz ty, jak wielkiej ofiary
Żąda krzewienie prawdy tam na ziemi?
Ten, komu takie posłannictwo dano,
Pierwej nim walki wywiesi sztandary.
Niech się pożegna z pragnieniami swemi,
Niech znieczuleje na wszystko, co boli,
Bo świat pogardą na proroka rzuci,

Bo, namietnością, zaślepieniem skuci,
Ludzie wysysać mu będą powoli
Wszystkie przez zapal zgromadzone siły —
Klątwą go ścigać będą do mogiły.
Człowiek nad sobą nie ścierpi wyższości;
Zazdrość i duma wyteją się społem:
I padną cisi, niewinni i prości
Z rozdartą piersią i skrwawionem czołem.
Dopiero, kiedy tłum trupa zobaczy —
Zawyje dziko odgłosem rozpaczny
I, winy swoje wyznając przed światem,
Uzna, że własnej swej myśli był katem.
A jeśli męża zatrwóżą męczarnie?
A gdy na widok ofiarnych ołtarzy
Niemoc i przestrach proroka ogarnie?
Gdy na stos śmiało wejść się nie odważy?
Gdy padnie, własną niemocą zwalczony
I prawdy słów swych nie potwierdzi czynem? —
Czy wart on będzie niebieskiej korony?
Nie! — Taki nigdy nie będzie mym synem,
Taki wyrazem bóstwa być nie może:
Nie dla ust jego wielkie prawdy boże“.

Tu Ormuzd sięgnął po księgę żywota
I przejrzał wszystkie Zoroastra karty:
Na każdej widniał wielki ból, tęsknota,
Cicha ofiara, miłość, bój zażarty,
I nigdzie skazy na kartach nie było;
Życie potęgą ducha się świeciło.

Wówczas rzekł Ormuzd: „Niech będzie wybrany!
On bolał, kochał, czuł za miliony.
Jak krzew w pustyni pod promieniem słońca,
Tak on umierał, a bólem drczony,
Gdy z czoła krew mu lała się gorąca.
Myślą o stopy niebieskie zahaczał
I zawsze wierzył, nigdy nie rozpaczał,
Na ból miał serce z granitu...
Wierzył i kochał — kochał zawsze, wszędzie,
I wszystko wszystkim on zawsze przebaczał,
Bo myśl swą oparł o niebios krawędzie,

U człowieczeństwa stał szczytu.
Płomienna miłość, odwaga i męstwo —
Oto są cechy wielkiego żywota.
Pójdź, Zoroastrze! Przez swoje męczeństwo,
Miłość, hart ducha — tyś kochanek bóstwa.
Niech szal i wściekłość na ciebie się miota,
Wiem: przed ołtarzem ofiarnym nie zbłądniesz,
A w męce wielkiej, wpośród wrogów mnóstwa,
Jeżeli padniesz, to z godnością padniesz.
Tobie nie zbraknie potrzebnej potęgi;
Duch mój swem tchnieniem proroka ogarnie.
W nagrodę życia idź znów na męczarnie!
Tyś jeden godzin nieść Awesty księgi“.

J. Nitowski.

SERCE I GŁOWA.

(Dalszy ciąg).

W kilka dni po rozmowie z wujem znalazł Henryk w pokoju swoim zeszyt, którego pierwsza stronica mieściła „wskazówki dobrych przedsięwzięć“, na trzydzieści jeden dni miesiąca. Dalej znajdowały się karty białego papieru, które już on sam po winien był zapełniać spisem zamierzonych sobie dobrych uczynków.

Wzruszony chłopiec przebiegł je oczyma. Po-
czątek przedstawił mu takie trzy zadania:

Dzień pierwszy. Dziś będę rozmyślał, jakim jest największy mój niedostatek cielesny... Dalej będę się doszukiwał głównej wady mego charakteru. Nakoniec wypróbuję w czem rozsadek mój szwankuje najczęściej... Gdyby ten examen osoby mojej nie zadowolnił mnie dostatecznie, nie wyświe-

cił mi tego, co chcę wiedzieć, zwróć się o pomoc do wuja Franciszka.

Dzień drugi: Odwróć medal i naodwrot namyślać się będę:—W czym celuję przez siłę ciała? Jaka jest najszlachetniejsza strona mego serca? Jakiego rodzaju praca umysłowa jest mi najprzyjemniejszą i najłatwiejszą? Sądję, że temi zagadnieniami nie będę trudził wuja, aby otrzymać odpowiedź. Przymioty nasze występują nam łatwo przed oczy—często przecież widziane przez szkło powiększające je dwukrotnie—nierzadko nawet stokrotnie...

Dzień trzeci. Wczoraj mój bratanek Piotr, będący w tymczasem, co ja, wieku, wszedł na sam wierzchołek góry Canalbino. Dziś ja to zrobię. Onegdaj stary żebrak Binelli prosił mnie o solda jałmużny; żem przecież szedł właśnie do willi Venturi, aby zobaczyć piękny teatrzyk tamtejszy, ofuknąłem go, i nie dałem. Za to dziś dam mu dwa soldy, choćby nie prosił o nic. Dziś także nauczę się na pamięć pierwszej pieśni *Piekła* Dantego, bom poznał, że słabość pamięci jest wielką wadą mego umysłu.

Dzień czwarty. Wskoczę dziś z łóżka natychmiast, skoro tylko zawołają na mnie, i nie będę się jak wczoraj leniwie przeciągał i ociągał. Dziś także napiszę długi list do matki, nie czekając, aby mi wuj to przypominał. Potem nauczę się nazwy wszystkich rzek włoskich, oraz miejscowości, z których wypływają, a także kierunku, w jakim płyną i gdzie wpadają do morza.

I tak dalej, tak dalej idą niby drobne, ale razem wiele znaczące postęпки i czyny, przez które wyrabia się siła fizyczna, rozwija uczucie i myśl odpowiedzialności moralnej, a umysł, zdobywając sobie potrzebne wiadomości o świecie i życiu, rozszerza wiedzę swoją. Są tam pytania: na jakiej podstawie ma się rozwijać w sercu młodego miłość kraju, bliźnich, rodziców. Są wzory, jak zapewnić sobie przyjaźń ludzką, jak się do dobra ogółu swego przykładać i praw jego, jego dobrodziejstwa bronić, i razem ten miesięczny dziennik duchowego życia młodego chłopca tworzy wybor nie obmyślone środki samokształcenia się z pomocą nadzoru własnego: uwagi zwracającej się w głąb siebie. Jest to poniekąd stara metoda obrachunku sumienia, którą Kościół nakazuje całemu chrześcijańskiemu zborowi, a którą Mantegazza chce stosować w wychowaniu. Czy tylko sposób, w jaki pragnie to urządzić, doprowadziłby do zamierzonego celu?

To codzienne zapowiadanie sobie z góry obmyślanych cnót i dobrych uczynków, spełnianych według pewnego moralnego schematu, czy nie stałoby się w praktyce pedanterią duchową, odbierającą się wszelkiej inicjatywie uczucia i wzruszeniu serca, błyskom myśli—czy nie czyniłoby tak chowającej się istoty młodej, jakąś maszynką, manekinem moralnym? Co wieczór zastanowić się nad tem: czy dzień nie był straconym dla dobru—czy nie przechylił nas ku złemu, złego w duszę nie wpuścił? to dobra kontrola nad duchem swoim, ale nie tak ujętym w oklaszczki nienaturalnie, niewykonalnie ułożonych szczegółów. Jak tu zapowiadać sobie:—„Dziś będę odważnym“ „jutro będę miłosiernym“, gdy okoliczności otaczającego życia mogą nie nastroić sposobności do praktykowania tych cnót na zawołanie, lecz każą przeciwnie wydobyć sobie z duszy inne formy dobra i szlachetności, na przykład: podniesienie się nad małoduszną próżność, nad nędzną chęć zysku, lub przyzyczenie się uczciwe do rozkrzewienia prawdy pożytecznej? Albo plan uczyniony prędko się popłacz, albo będzie trzeba poszukiwać sztucznie sposobu wykonywania tych nakazów moralnych, które mogą wtedy doprowadzić do pozowania na doskonałość—fikcyjną...

Życia nie można zamienić w formułkę, dlatego właśnie, że jest—życiem! Prawodawca moralny, czy duch nasz własny, własne pragnienie dobra, może nauczać tylko:—Bądź codzień dobrym i sprawiedliwym, spełniaj uczciwie każdodziennie obowiązki względem bliźnich twoich i strzeż godności własnego ducha, aby się nie poniżył i podłością lichą nie splamił. Francuskie przysłowie powiada: —Na wojnie, jak na wojnie... i podobnie w życiu. Zetrzeć się mężnie z każdym nieprzyjacielem spotkanym i z pola boju nie zbiegać, zwy-

ciężstwa pragnąć i na każdym kroku czynić wszystko, aby je otrzymać, a z praw taktyki o tyle korzystać, aby były wskazówką pomocniczą wśród okoliczności spotykanych—to kodex żołnierza. Inaczej możnaby wyjść na Don Kiszota, który z wiatrakami wojował.

Wychowawca, znający charakter, skłonności dziecka i okoliczności otaczającego je życia, może a nawet powinien, skierowywać jego uwagę na pewne szczególne pozyce moralne i w chwilach, gdy przypuścić trzeba, że wychowanek wystawionym będzie na próbę, może on podsuwać mu, jako praktykę cnoty, spełnianie pewnych aktów dobrej woli, rozumui wyższego podniesienia uczuć, mogących przez oddziaływanie swoje przyjsić w danej chwili z pomocą. Ale na razie dziecko nie potrzebuje nie wiedzieć o całej tej manipulacji i dopiero potem, potem już wyznać mu to i wykazać można, jak to uczucie i myśli ludzkie wiążą się ściśle z czynami życia i tworzą razem łańcuch. Jak, na przykład, rozsądna oszczędność wspomaga dobroczynność, jak opanowanie miłości własnej pomaga do tego, aby być sprawiedliwym w sądach o sobie i ludziach, gdy wyrobione w nas męstwo i odwaga szlachetna stają się siłą, złożoną w głębi naszej na zapas, gdy okoliczności życia zażądają od nas cnót i ofiar, mających w sobie pierwiastek bohaterskości. Mantegazza przedstawia też w następnych rozdziałach książki naukę cnoty, już nie w teorii przedsięwzięć, założeń dobrych, ale w przykładach żywego życia: w czynach szlachetnych lub uczciwych, które wynikają z wypadków, wydarzonych w biegu czasu z przyczyn rozmaitych i od woli naszej niezależnych. Tak jest na świecie: chęci, zamiary, postęпки rozmaitych ludzi krzyżują się wkoło i często chwytają w swój wir, oddziaływają na nas, i my musimy przyjmować je lub odpychać, w miarę, jak uważamy, iż są dobre lub złe, nie odwołując się do zadanego sobie na obrany dzień tematu.

Każdy rozdział książki tworzy następnie jakoby powiatkę oddzielną, bo przedstawia zdarzenie, wśród którego Henryk, w praktyce już, nie w teorii, zdobywa sobie coś rozumu i zasługi—kształci się w rozmaitych kierunkach myśli i uczucia. Na przykład zdarzyło się, iż pies, o którym przypuszczano, iż jest wściekłym, pokasał dzieci, bawiące się na placu; mają im na wszelki przypadek wypalać rany rozpalonem żelazem, i Henryk, litujący się nad ich cierpieniem, płacze, gdy oto ojciec innego, też podobnie płaczącego chłopca, Anglik, mówi synowi swemu surowo:—Cicho, Williamie... nie płacz! Anglik płakać nie powinien... Anglicy nigdy nie płaczą.

Henryk, słysząc to, ociera oczy, ale potem pyta wuja Franciszka o znaczenie tych słów i przyczynę: dlaczego to Anglicy wobec nieszczęścia i cierpienia łez mieć nie mają?...

—Dla tego — odpowiada wuj Franciszek — że łzy są oznaką słabości, a przynajmniej miękkości. Przez łzy tracamy ten hart ducha, który w nieszczęściu do działania nakłania, i w złej chwili nie rozżalać się łzami należy, chłopcu zwłaszcza—mężczyźnie. Dlatego, że Anglicy nie płaczą, Anglia jest wielkim, silnym narodem—narodem dzielnych czynów. A przecież ów twardy człowiek, który nie dawał się rozczulać synowi nad niedolą ludzką, kazał mu niemniej służyć pomocą czynną nieszczęśliwym, i oto wuj Franciszek wyciąga z tego naukę, że uczucie nie zawisło od łatwości płakania, co jest rzeczą nerwów a nie serca. Serce powinno też być pod taką strażą głowy, aby broniła od roztkliwiania, wywołujących chorobliwość nerwowe. Jest to brak panowania nad sobą, i ludzie wyższych, szlachetniejszych przymiotów ducha, nigdy się niepoddają nerwom swoim. „Górą powinno być serce, ale tuż zaraz ma isć głowa—zawsze razem.“

Bez siły nad sobą niema siły, wywierającej się na otoczenie nasze, na ludzi, z którymi się stykamy—nie ma rządu nad życiem, ale uleganie życiu—poddanie się wypadkom. Jako przykład utrzymania się też ponad niemi, wtedy nawet gdy materyalnie zwyciężają nas, przedstawia wuj Franciszek siostrzeńcowi wielkiego pana, który zubożał: syna starego, magnackiego rodu, który ze wszystkich dóbr i majątków dawnych przez ciężkie okoliczności życia obrany, posiada już tyl-

ko stary dom rodzinny jako ostatnią puszczynę przeszłości i w nim mieszka, stare mury podpierające. A chodzi przytem w ubiorze prostego chłopca, je i pije jak chłop prosty, i samotnik w pałacu ogromnym, płaci w ten sposób długi przeszłości—grzechy popełnione.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Nie naraził się jednak nikomu, nie obraził nikogo. Gra została przerwana, wywiązała się ogólna rozmowa, przerywana żartami pułkownika, zagłuszana wesołym śmiechem. Pan Jan, otoczony przez zebranych, zabawiony był na wysięgi. Nielubiany przez szlachtę, gdy się jednak pokazał, wszyscy bez wyjątku radzi byli zbliżyć się do potentata powiatowego, żyjącego w przyjaźni z wielkimi panami. Każdy z zebranych chciał się najlepiej przedstawić, być eleganckim, dowcipnym, rozumnym. Widział to pan Jan, uśmiechał się pod wąsem i krzaczystymi brwiami zlekka strzygł.

Służący, stanawszy na progu, wygłosił zaproszenie do wieczery. Pułkownik powiódł wzrokiem po zgromadzonych i zbliżył się do marszałka, podając mu z obliczonym efektem ramię.

—Jeżeli nie z wieku, to z urzędu i zasług — wygłosił. —Panowie, proszę za mną.

Marszałek był wzruszony. Pułkownik wiedział co robi. Na zebranej szlachcie krok ten sprawił wielkie wrażenie. Sztandar znowu zajaśniał nowym blaskiem — niezależności i odwagi. Reszta pozostałych w sali zrobiła miejsce panu Janowi.

—Zasługi przedewszystkiem — powtórzył pan Jan, zbliżył się do najstarszego wiekiem, podał mu rękę i poprowadził go za sobą.

Na pierwszym miejscu pułkownik posadził marszałka. Po prawej jego stronie—pana Jana. Sam chodząc wokoło stołu, rozlewał wina, służył swym gościom.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu i wypiciu paru kieliszków wina rozmowa potoczyła się szparko. Rozprawiano o gospodarstwie, o upadku rolnictwa, małych cenach zboża, nieurodzaju.

—Ja nie narzekam — rzekł pan Jan swobodnie. —Dziesięć tysięcy kóp zboża, do tego gorzelnia i las, muszą wystarczyć.

Dziesięć tysięcy kóp podniosło pana Jana w opinii zgromadzonych. Nikt z obecnych nie miał nawet połowy.

Razem z panem Janem zaczęli się dorbacia—odezwał się pułkownik — ja nawet o dziesięć lat wcześniej. Dziś pan Jan wielki pan, ja chudopacholek. Pracy, wytrwałości, oszczędności, —tego nam potrzeba. I dlatego, panowie, w imię tych haseł wnoszę toast na cześć mego gościa.

Wszyscy powstali, podnosząc kieliszki w górę. Pan Jan dziękował. Usta miał zaciśnięte, na policzkach wypieczone czerwone plamy. Nie lubiał wspomnień przeszłości, a nie znoślił, gdy go chwalało za oszczędność i dorobienie się majątku. Pułkownik dobrze cios wymierzył; szlachta zrozumiała, czując coraz żywszą dla gospodarza domu sympatię.

Pan Jan stracił na humorze, animuszu i impozycji pańskiej. Marszałek tryumfował, był uprzedzającym dla niego grzeczny, usługiwał mu, z odzieniem protekcyjności. Z gospodarstwa rozmowa, utartym zwyczajem, wtoczyła się w dziedzinę polityki. Bismarck został odcieczony, Francuzom zarzucono tchórzostwo, na wiosnę zapowiedziano europejską wojnę, ułożono przymierza, postaczano wielkie batalie i szczęśliwie uregu-

lowano sprawy Europy, przechodząc powoli do spraw własnego kraju. Zbliżające się wybory dały szeroki temat do rozpraw. Marszałek zrezygnie badał opinią, a na szarym końcu Gryzio półgłosem, a zawzięcie, agitował.

— Instytucja bogata — zabrał głos marszałek — miliony w kassie, stowarzyszonych prawie cały kraj. Trzeba ją wziąć pod wyłączną naszą opiekę, przeciw agitacyom, jakie się czuć dają w powiecie.

— Pod wyłączną naszą opiekę — powtórzyli obecni.

— A zatem, moi panowie — zabrał głos pułkownik — jak tu jesteśmy, zobowiązmy się głosić, jak jeden mąż, na kandydata, którego dzisiaj wybierzemy. Dyskusję otwieram. — Marszałek i pan Jan niespokojnie wodzili wzrokiem po otoczeniu. Milczenie, — nikt się nie odzywał. Wtedy Gryzio, czerwony i wzruszony, powstał.

— Gryziu, daj pokój — rzekł dobroliwie pułkownik. — Domyślamy się twego kandydata. Mówka twoja zamknęłaby usta wszystkim. Siadaj i nie tamuj objawów wolnego głosu. Znamy twą piorunującą wymowę.

Ostatni frazes pułkownika przyjęto wesołym szmerem. Gryzio, skonfundowany, usiadł. Skorzystał z tego pan Jan, powstał; zrobiło się cicho, jak makiem siał.

— U szanownego pułkownika w gościnie — mówił wzruszony — widzę zgromadzone czoło powiatu — skłonił lekko głowę. — Od niego powinna wyjść inicjatywa i jego decyzja powinna być stanowczą. Zanim jednak przystąpimy do wyboru, ośmielię się zrobić jedną uwagę. Nie przeciążajmy pracą jednych, skazując drugich na bezczynność. Zostawmy i tym drugim wolność pracy i służenia krajowi. Nareszcie, wysyłając zawsze i wszędzie jedne osobistości, temsamem poświadczamy, że tylko jednego zdolnego człowieka mamy w powiecie. — Pociągnął wzrokiem po zgromadzeniu, dodając z mocą. — Jestem przekonany, że tak nie jest.

Marszałek zaczął bić w ręce i wołać:

— Bravo, świetnie, racjonalnie, prawdziwie! Nie przeciążajmy zbyt wielką pracą jednego z nas... — Powstała wrzawa, ogólna rozmowa, wzajemne zwierzenia... Gryzio rwał się do głosu; pułkownik go zatrzymał.

— Najważniejszą kwestją — mówił — jest zaufanie. Czy kto przeciążony pracą lub nie, to nas nie wiele obchodzi wobec zaufania. Poślemy godnego zaufania. Nieprawdaż, panowie?

— Prawda, prawda — powtórzono.

Pułkownik klasnął w ręce i ukazującemu się słuzącemu kazał przynieść ołówki i papier. Gryzio poprzecinał papier na równoboczne kartki obdzielił nimi biesiadników.

Gorączka nie pozwalała szlachcie usiedzieć na miejscu. Powstano, rozbiegając się po pokojach, tworząc grupy, małe kółka i narady dwójkami. Marszałek bawił pana Jana, pułkownik osobiście zbierał do kapelusza głosy zwinięte w małe tutki. Marszałek napisał na swej kartce nazwisko pana Jana, pan Jan — marszałka. Pułkownik nie głosował.

Dwóch najmłodszych z otoczenia otwierało kartki, Gryzio notował, pułkownik czytał.

— Marszałek, marszałek, marszałek! — Dwa głosy otrzymał pan Jan, jeden Gryzio, — na co był oburzony.

— Zatem marszałek, jako delegat do rady nadzorczej, niech żyje! — zawołał pułkownik.

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

Pan Jan pierwszy złożył marszałkowi życzenia, nie dając poznać po sobie, że go przegrana rozgniewała.

— Podzielam zdanie — mówił — aby w tym wypadku do rady nadzorczej tak wielkiej instytucji, wybrać wypróbowaną inteligencją i męża o niezachwianym charakterze. — Zabawił kilka chwil, pożegnał się ze wszystkimi i odjechał. Szlachta, ujęta grzecznością, odprowadziła go, z pułkownikiem i marszałkiem na czele, na ganek. Dopiero, gdy odjechał, zaczęto żartować z jego porażki. Koncepta się roili, bawiono się wyborami. Marszałka otaczała powszechna cześć. Pułkownik śmiał się głośno i tryumfował.

Gdy powozik wiozący pana Jana minął zabudowania, wtedy dopiero jego właściciel wybuchnął gniewem i puścił wodze swemu oburzeniu.

— Idioty! — wołał — czekajcie, ja was nauczę posłuszeństwa i rozumu. Rząd i starosta, w porozumieniu z przedniejszymi obywatelami, powinni wybierać... Ta ograniczona szlachta niczego się nie nauczyła i niczego nie zapomniała. Ale ja wam pokażę! Nie ma innej rady, tylko z Radwanem się porozumieć i zepchnąć tego frazesowicza z piedestału zaufania i miłości szlacheckiej, choćby radykała wyforytował na czoło. Ten się prędko skompromituje, a my wtedy weźmiemy w swe ręce należną nam władzę.

Goście pułkownika nie słyszeli pogroźek; rozbawieni, zasiedli powtórnie do gry.

O wschodzie słońca wracał tryumfujący marszałek w towarzystwie Gryzia. Szarawe, grube chmury wychylały się z zachodu, na wschodzie słońce wielką rozlaną kulą świeciło.

— Deszcz, trzydniówka nas nie minie — szepnął Gryzio — potraw mój w kopach na polu. Kłnę się na wszystkie świętości, że przez dwa tygodnie nie ruszę się z domu.

— Nie wytrzymasz i trzech dni — odparł z uśmiechem marszałek. — Słuchaj, nauczyliśmy półpanka rozumu.

— A to chyba byłby koniec świata, żeby w powiecie Stańczyki przewodzili! Dostał naukę na dziesięć lat.

— A jeśli się połączy z Radwaniczkami?

— A solidarność? przysięgał na solidarność — zawołał Gryzio.

— Mój Gryziu, gdyby mnie chciano solidarnie zepchnąć z marszałkowstwa, czybyś solidarności nie złamał?

— Nie zobowiązywałbym się. Cóż znaczy solidarność narzucona? Protestowałbym, krzyczał, opponował.

— Pan Jan zrobiłby to samo, tylko jest większym od ciebie dyplomata, i dlatego będzie się porozumiewał z radykałami.

Wózek toczył się po drodze ciągnącej się wzdłuż łąk marszałka. Na łąkach był ruch. Świderski na białym koniku uganiał się, krzyczał i kłął. Wozy, naładowane potrawem, jedne po drugich odjeżdżały.

— Świdersiu — wołał marszałek, dając rozkaz zatrzymać konie przy mostku. Ekonom galopem nadjechał.

— Potraw znika.

— Znika, jaśnie panie, ale com się nie nalatał, nie naprosił, nie naobiecował! Ledwo nająłem dziesięć fur.

— Uciekniesz przed deszczem?

— Kto wie? w Bogu nadzieja.

— A nie mówiłem ci, że dasz sobie radę? I zakład-byś przegrał.

Świderski rozpaczliwie machnął ręką.

— Wołałbym go przegrać.

— Aleś wygrał, mój kochany. Przekonasz się o tem.

Stary uchylił czapki, konie na dany znak ruszyły.

— Trzeba staremu jego energią wynagrodzić. Radzę ci, Gryziu, wymagaj od ludzi wiele, ale każdą usługę wynagradzaj usługą.

Gryzio pomyślał sobie: jak też jego usługi względem marszałka będą wynagrodzone. Jechali chwilę w milczeniu, Gryzio raptownie odezwał się.

— Pułkownik zuch! Jak on umie sprawami kierować, jak zręcznie i elegancko upokorzył Stańczyka.

— Mają oni dawne ze sobą rachunki, jeszcze z czasów czterdziestego ósmego roku... Mieć taki sztandar za sobą, to połowa wygranej.

— Cała — zawołał Gryzio.

— Myślałem, że drugą połowę dla mnie zachowasz — odparł marszałek.

Zakłopotany Gryzio nie wiedział co powiedzieć.

— Żartowałem tylko, żartowałem — pocieszał go Rębowski. — Wiem, że mnie kochasz i troszkę wierzysz w mój rozum.

— Więcej, niż we własny — dodał Gryzio wzruszony.

— To jeszcze niewiele — pomyślał marszałek.

Wózek, na którym jechali, zatrzymał się na krzyżujących się drogach; Gryzio pożegnał marszałka, wsiadł do swej dryndulki, Antek śmignął batem, skręcając ku domowi.

Rozpromieniony, uśmiechnięty, w wybornym humorze, marszałek wysiadł przed werendą swego dworu, poleciwszy Walentemu przynieść samowar i herbatę do swej kancelaryi. Nie tracąc czasu, siadł przy biurku, pochwycił pióro i napisał te tylko wyrazy:

„Kochany!... Wybór mój stanowczo zapewniony
Wasz Stanisław.“

Gdy Walenty wniósł samowar, kazał mu marszałek list wyprawić na pocztę, a sam z rozkoszą człowieka zmęczonego i tryumfatora używał odpoczynku, pijąc, wyciągnięty na fotelu, herbatę.

— Miła jest siesta, odpoczynek rozkoszą — deklamował.

Do pokoju weszła marszałkowa.

— Maryniu, chodź, dziecko drogie! Daję ci na twe rozkazy całe dwie godziny. Rób ze mną i z niemi, co ci się podoba. Rozkazuj, gderz, sypanki moralne; w końcu wiem, że przebaczysz.

— Nie żartuj — odparła pani Marya. — Z ważnemi sprawami przychodzę.

— A więc nalej sobie herbaty, siadaj i radźmy. Dziś jestem, jak воск miękki. Możesz ze mnie ulepić lwa srogiego lub baranka.

— Cóż za wyborny humor!

— Wielkie zwycięstwo, pułkownik zręcznie prowadził akcyę. Stańczyki pobici, tromtradraci ani pisną.

— Do zwycięstw powinieneś być już przyzwyczajonym.

— I Napoleon był przyzwyczajonym, a jednak każde zwycięstwo utrzymywało jego powodzenie i władzę, a jedna przegrana zabiła go.

— Szcześciem, że nie jesteś Napoleonem: przegrana cię nie zabije, zwycięstwo niewiele ci pomoże.

— Nie przesadzaj — rzekł poważnie marszałek. — Zobaczymy, co przyszłość powie.

— Mój drogi — szepnęła pani Marya — właśnie boję się o naszą przyszłość: o przyszłość naszego dziecka.

— Wystarczy tego, co mamy, i dla nas na starość, i dla Julii.

— Nie lódz się, nie wystarczy. Co rok większy deficyt, długi rosną, majątek się zmniejsza, ceny zboża spadają, gospodarstwo nasze, urzędowe bardzo kosztownie, nie oplaca się. Świderski narzeka na brak sprzętów....

— Wierz staremu gderze!

— Muszę wierzyć. Robiłam rachunki: musimy najmniej tego roku dopłacić do gospodarstwa trzy do pięciu tysięcy guldenów.

— To niepodobna. Liczyłam pod wpływem pesymizmu Świderskiego.

— Poczciwiec, aby mnie nie dręczyć, starał się wiele rzeczy zataić.

— Udawał.

— Nie udawał, nie posiada tej sztuki. Ty całemi tygodniami za domem....

— Służę krajowi — przerwał. — Nie samym tylko chlebem człowiek żyje.

— Wiem o tem, i dlatego nie masz czasu na własne interesa i gospodarstwo.

— Wymawiasz mi.

— Nie, mój drogi, lecz Świderski już stary, nie może sobie dać rady; ja na rolnem gospodarstwie mało się znam.

— A to mi się podoba, aby żona dygnitarza powiatowego, posła, delegata... sama chodziła do stodoły i stajni!

— Chodziłabym, lecz, nie zajmując się tem lat dwadzieścia....

— I drugie dwadzieścia nie będziesz się zajmowała, daję ci na to słowo.

— A więc?

— A więc jeśli potrzeba, zrzekam się wszelkich godności i urzędów, wdzieję kożuch, przepaszę się rzemieennym pasem, dom zamknę i sam pójdę za plugiem. Jeżeli trzeba, to trzeba. Nikt mnie w poświęceniu nie wyprzedzi.

Pani Marya uśmiechnęła się smutno.

— Nikt tego rodzaju poświęcenia od ciebie nie

wymaga, a najmniej ja. Lecz czybyś nie mógł podzielić się godnościami?...

— Moja droga, przyznaj się, czy—to czasem nie wpływy pana sekretarza przemawiają przez ciebie?

— Niczyje wpływy. Nie możesz Tadeusza posądzać o intrygi w rodzinie. Częste wizyty Adama w naszym domu....

Marszałek natężył uwagę.

— Mów, mów, jest to ważna kwestya, bardzo ważna kwestya.

— Bardzo ważna—powtórzyła pani Marya. — Nie bywa tu, ani dla mego towarzystwa, ani też dla twego. Z tobą mało rozmawia.

— Za to rozmawia z Julią — dokończył marszałek.

— I specjalnie nią jest zajęty.

— Tak sądzisz?

— Widzę, mój drogi. To mnie tylko zadziwia, że nigdy nie przyjeżdża sam, lecz zawsze z Tadeuszem. Czy się boi wystąpić otwarcie w charakterze konkurenta?

— Nie mówi Julci grzeczności, nie nadskakuje jej?

— Nie, sposób ten podobania się pannie zużył się dzisiaj. Lecz za to stara się być z nią na stopie zażyłości i przyjaźni.

— A Julcia?

— Jest ożywioną w jego towarzystwie. Mówi zwykle więcej. Lubi z nim rozprawiać, walczyć na słowa. Wciąga go w rozmowę.

Marszałek się zamyślił, żona wpatrywała się w niego.

— Nie miałem czasu zastanowić się nad tą sprawą. Adam zaledwo dwa miesiące bywa u nas. — Wstał, chodząc szerokimi krokami po pokoju.

— Pan Jan przekonał się, że w walce ze mną zawsze przegra. Pobity w każdej potyczce, wyciąga rękę do zgody.

— Dlatego też wspomniałam ci o podziale wpływów i godności.

— Nie tak to łatwo. Przecież ja nie rządę absolutnie. Musi przejść do naszego obozu, ukorzyć się, przyjmując nasz program, przyrzec poprawę.... Wtedy zobaczymy. Czuje, że starodawnym obyczajem przez skojarzenie dzieci pragnie walkę zakończyć.

— Stasiu, Adam—świetna partya.

— A nasza Julcia dla niedawno spanoszonego szlachetki? Myślisz, że Rębowski to nie? Nie szczytę się swem urodzeniem, przekładam osobiste załugi. Lecz dla takiego półpanka-szaraka, to wiele znaczy, bardzo wiele, wierzę mi. Julcia nie ma wprawdzie dużego majątku, lecz jak zagospodarowany! A co do urody i wykształcenia, pokaż mi w trzech powiatach pannę ładniejszą, więcej od niej dystygowaną i rozumniejszą?

— Jeśli są projekta — zaczęła pani Marya — to niezawodnie uczucie Adama odgrywa najważniejszą rolę. W przeciwnym razie mógłby znaleźć lepszą partya.

— Nie koniecznie — zawołał marszałek wyniosło. — Cóż dzisiaj ten bogaty człowiek znaczy, i co może zrobić, chociaż poparty przez moze i wpływowe stronnictwo? Stosownie do danego mu z góry rozkazu stara się o wybór do rady nadzorczej. Wczoraj, nie zważając na to, że z pułkownikiem starzy nieprzyjaciele, przyjechał, kłaniał się, umizgał do szlachty i zyskał tyle, że przy próbnem głosowaniu otrzymał dwa głosy. Jeden ja mu dałem, drugi pewno on sam sobie. Resztę głosów padło na mnie.

— Musiał się obrazić.

— Ale udawał rozrzewnionego, czulego, winował mi. Przekonywa się, że nie dość jest mieć majątek, pewność siebie, butę człowieka o pełnej kieszeni, aby rej wodzić i mieć to, co zapragnie. Przekonał się, że popularność zdobywa się ciężką i długą pracą, że popularność jest potęgą, która panuje i rządzi.

— Stasiu — zaczęła pani Marya. — Lecz marszałek nie słyszał. Upojony swą wielkością i popularnością mówił rozentuzjazmowany dalej.

— Kapitułuję i, jak w starym romansie, przysła syna. Małżeństwo ma pogodzić dwa zwaśnione rody, dwóch sąsiadów, dwóch ludzi walczących o wpływy i supremacyę. — Zbliżył się do żony i pocałował ją w czoło. — Wprawdzie dochody

nasze są nieco mniejsze, interessa nie tak świetne, lecz za to córka nasza będzie dyabelnie bogata. Nam na starość to, co mamy, wystarczy. Widzisz, praca dla kraju i społeczeństwa, czasami i za życia bywa wynagradzana.

Marszałkowa miała ochotę wypowiedzieć swoje obawy, lecz wobec dobrego humoru, radości i pewności męża nie śmiała.

IV.

Pan Jan, wracając, objeżdżał swoje folwarki. Budził ekonomów, kazał im zapalać latarnie, obchodził stodoły, śpichlerze, zaglądał do obór i, chociaż wszystko zastał w porządku i na swoim miejscu, był chmurny i zły.

Przyjechawszy do domu, kazał zatrzymać konie przed skrzydłem dworu, w które mieszkał Adam.

— Śpiochu, szkoda życia marnować na sen — wołał, odsunawszy kotarę sypialnego pokoju syna. Adam oczy otworzył.

— Dzień dobry — wyciągnął ręce w górę i ziewnął. — Ach, ojcze, gdyby Pan Bóg nie stworzył snu, nie warto byłoby żyć na świecie.

— Zostaw tę rozkosz nieszczęśliwym, biedakom i ludziom ciężkiej pracy. Gdy byłem w twoim wieku, żyłem na dobę dwadzieścia godzin, sypiałem cztery. Dziś nie zmrużyłem oka całą noc, i nie czuję się zmęczonym.

— To już dowiedzione, że żadnego i nigdy nie wytrzymam porównania z ojcem, w tem i przyszedłem zyciu.

Otworzył cygarniczkę, podając ją ojcu. Zapalił papierosy.

— Wracam od Galdzińskiego, sprawa zachwiana.

— To było do przewidzenia — odparł Adam spokojnie. — Wielcy ludzie nie mają uznania, nie cieszą się popularnością.

— Daj pokój — przerwał niechętnie pan Jan.

— Ależ, ojcze, to rzecz wiadoma, że mierności są bożyszczami popularności.

— Nie o teorię mi idzie. Mimo dzisiejszej porażki nie daję za wygraną.

— A więc walka?

— Walka — powtórzył pan Jan — lubię walkę. Musimy się zdecydować na stanowczy krok. Trzeba raz zrobić wyłom w tej fortecy popularności, a wtedy łatwiej ją przyjdzie zdobyć. Gdy raz uda się Rębowskiego pobić, gdy raz przekonają się ludzie w powiecie, że wolno im Rębowskiego nie wybrać, wtedy pójdzie inaczej.

— Ojcze, widzę, nosi się z planami wielkiej dyplomacji — rzekł Adam, podnosząc się na łóżku i podpierając wygodnie ręką głowę.

— Bądźcobądź, Rębowski nie powinien być wybranym, nie może być wybranym, nie będzie wybranym.

— Ojcze, czy nie za dużo ognia do usmażenia jednego omletu?

— Nie, gdyż sprawa ważna. Odebrałem wskazówki z Krakowa. Instytucja jest nasza, i nie powinna być wystawiona na próbę kontroli obcych. Dalej pisz mi: użyj całego swego wpływu, byle nie dopuścić Rębowskiego. Póty już — pokazał na gardło — mają tego gaduły i deklamatora. Najznakomitsze osobistości naszego stronnictwa w powiecie przechodzą pod moje rozkazy. Wyobraź sobie, Rębowski jest kandydatem na jednego z dyrektorów. Rębowski dyrektorem!?

— Taka wielka wojna o jeden wybór?

— Taka — poświadczył pan Jan. — Gdybym nie należał do stronnictwa i gdyby nie chodziło tu o mnie, pewno dziwiłbym się taksamo, jak ty. Jeżeli nie pobiję Rębowskiego, dowiodę, że nie mam wpływów, że jestem niezręczny, a, co najważniejsza, dla partii, żem nieużyteczny. Na to nie pozwolę, dla siebie samego, i dla twej kariery. Trzeba coś dać, jeżeli się będzie żądać wiele. Mnie nie wybiorą? wszystko mi jedno, byle nie wybrali Rębowskiego.

— Może byłoby i dobrze, lecz czy się tak stanie?

— Musi — zawołał ojciec — choćby zawrzeć przymierze, nie tylko z Radwanem, ale z samym lucyferem.

— Z Radwanem? I odważysz się ojciec wpuścić wilka do owczarni? mieć stosunki z radykałami? Co na to powiedzą wielcy magowie stronnictwa? Co na to powiedzą zasady—westalki stronnictwa?

— Magom wytłómaczymy konieczność, zasady muszą milczeć. Zasady są dla nas, na nasze rozkazy. Zasady to wyborna broń na przeciwnika. Nam braku konserwatywnych zasad nikt nie zarzuci. Zasady—to my.

— Ale Radwan wysłany przez ojca, jako stróż instytucji, która jest w rękach waszych....

— Sądzisz, że tak trudna sprawa z radykałami? — przerwał pan Jan. — Każdego weźmiesz pochlebstwem, uśmiechem, podaniem ręki, poufałością. Radwana ugłaskamy i, jeżeli się okaże zdolnym, wprowadzimy do swego obozu. Za rok z Radwana Stańczyk taki, jak ja, jak ty... Od ciebie będzie lepszy, zaręczam ci. Neofici są gorliwi w wierze.

— Ojcze, mnie, jako przyszłej figurze rządowej, pozwól stać ponad partjami.

— Pozwalam! Twoją dewizą „Dieu et mon roi“. Jest to rycerskie, prawowite i lojalne.

Adam, chcąc pokryć uśmiech, stulił usta, puszczał figlarnie dymek z papierosa.

— Czemże ja mam być w tej wielkiej wojnie? — zapytał.

— Parlamentarzem — rzekł poważnie ojciec.

— Do Rębowskiego, czy Radwana?

— Rozumie się: do Radwana.

— Wolalbym stok oć rozmówić się z Rębowskim.

— Nigdy — zawołał ojciec.

— Ci liberały, czy postępowcy, pozują względem nas na Katonów. Co do nich mówić? o czem? jak grać swoją rolę? Do Rębowskiego zaś łatwo trafię przez kobiety.

— Nigdy — powtórzył pan Jan. — Rębowski jest, jak ci to powiedziałem, kandydatem na dyrektora, a Radwan w radzie nadzorczej jednym tylko głosem.

— Ależ, drogi ojcze, może nie wypada występować otwarcie przeciw Rębowskiemu?

— Dlaczego? — pochwycił ostro pan Jan. Brwi jego krzaczaste ściągnęły się, wargę dolną wysunął.

— Dlatego? — odparł spokojnie Adam — że bywam w jego domu, że dobrze się tam bawię, że są mi radzi, że lubię jego córkę....

— Adam — rzekł surowo ojciec. — Czy bywania nie posunęłaś zbyt daleko. Czy lubienie nie stało się namiętnością, lub, co gorzej, nałogiem?

— A gdyby tak było? — odrzekł spokojnie Adam.

— Tobym cię przeklął — krzyknął nerwowo ojciec. — Przekląłbym cię, przysięgam... Ale ty żartujesz — dodał ciszej, siłąc się na spokój.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Dziennik Zofii Komierowskiej,

spisany w Paryżu w r. 1853.

(Dalszy ciąg).

D. 2 Kwietnia, Nancy. Wczoraj tedy o g. 9-tej rano opuściliśmy Paryż z żalem ogólnym, nie tylko swoim, ale i tych wszystkich, których tam pozostawiliśmy za sobą. Odprowadziło nas na kolej całe nasze kółko, wszyscy prawie codzienni nasi goście; kuzynek z ogromnym bukietem i z dwoma ozdobnymi pudełkami cukierków, — obaj zaś Chińczycy onegdaj jeszcze wieczorem przyszli nas pożegnać. Oprócz tego kilkunastu dobrych znajomych brata, i kolega szkolny Artur Łempicki, który tu

do szkoły inżynierii uczęszcza, — wszyscy nas z żalem i łzami w oczach żegnali, najbardziej jednak rozczulającym było rozłączenie się moje z pocziwą służbą. Kucharz, zwyczajem ojczystym, ścisnął nas na przemiany za kolana, błogosławiąc i dziękując za nieuciążliwą trzymiesięczną służbę; pocziwa zaś Eliza czepiała się z rozpaczą sukni mojej, prosząc ze łzami, aby jej nie opuszczać.

Do Nancy przyjechaliśmy z bratem moim i z owym chrzestnym synem. Zwiedziliśmy miasto; lecz po Paryżu wszystko nikłe i mało znaczące, oprócz pałacu królewskiego z prześlicznym tarasem. Jest to dawna rezydencja Stanisława Leszczyńskiego. Kościół, w którym on i jego córka spoczywają, również zasługuje na uwagę. Nie wiem, czy będę miała ochotę dziennik swój podczas podróży prowadzić. Mąż mnie zachęca do wytrwałości.

D. 21 Maja. Nareszcie jesteśmy z powrotem w Paryżu. Poznałam znowu trochę świata i ludzi, ale więcej poznał mój mąż, na którego usposobienie podróż ta wywarła wpływ nieprzewidywany a niezmiernie zbawienny. — Nancy opuściliśmy nazajutrz po przybyciu z Paryża. Granicę przejechaliśmy w Belfort. Pierwszem większem miastem, jakie widziałam w Szwajcaryi, była Bazylea. Miałam wielką ochotę zatrzymać się w tej starożytności i zwiedzić szczegółowo co godnego widzenia, lecz mąż tak się spieszył do Zürichu, że za ledwie na zjedzenie obiadu nam pozwolił.

Stanąwszy na miejscu (*d. 3 Kwietnia*), zamieszkałam w domu prywatnym bardzo wygodnie i obszernie. Położenie miasta piękne, nad wielkiem jeziorem z górzystymi brzegami. Ulice ciasne i brudne, albo też źle utrzymane, i także brudne. Tylko nad jeziorem swobodniej i czystiej. Miasto handlowe; ma uniwersytet i rozmaite zakłady techniczne.

Powzięliśmy zamiar odbycia pielgrzymki do klasztoru cudownej Matki Bożkiej w Einsiedeln, położonego ztąd o jakie siedm mil na ogromnej górze.

Wyjechaliśmy w południe statkiem parowym do Richterswyl, ztamtąd szliśmy piechotą parę mil, a wynajęty powóz postępował za nami, ale nie zawsze tą samą drogą. W dolinach łąki już kwitły i drzewa pokrywały się kwieciami; w górach brnęliśmy w śniegu po kostki. Po drodze wstępowałyśmy do oberży na kawę i podwieczorek: wszędzie czystość, uprzejmość, gościnność i taniość. W jednej z takich gospód musieliśmy zanoć: łóżka wygodne, pościel świeża, kawa wyborna, usługa doskonała. Do kawy podają zwykle świeże pieczywo, masło, ser, jajka i miód. Wstawszy równo ze dnem, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Około południa ujrzelśmy wieże kościoła, radość moja nie miała granic, bo nogi już wypowiedziały posłuszeństwo, a uczyniony ślub dojścia piechotą na miejsce, nie pozwolił korzystać z powozu.

Klasztor starożytny, jeszcze z X wieku, stoi na wysokiej górze, otoczony niebotycznymi modrzewiami. Oprócz hotelu, nie ma nic więcej, z boku tylko kilkanaście bud z obrazkami i rozmaitemi przedmiotami do czci religijnej; wsie należące do parafii porozrzucane w dolinach. W środku kościoła kaplica z czarnego marmuru, w niej cudowna statua Matki Bożkiej.

Hotel z konfortem i zbytkiem urządzone, musi mieć częstych i licznych gości.

Udaliśmy się zaraz do kościoła. Mąż mój się spowiadał i dzień cały spędził na gorącej modlitwie. Późno już wieczorem uprosiłam go, aby się czem ciepłym posilił; wkrótce jednak powrócił do klasztoru i do rana już tam pozostał. Tak przepędził 36 godzin na modlitwie, łzach i poście. Nareszcie skruszony, i pokrzepiony, dał znak do powrotu.

Wracaliśmy do Francji na Bern kareta pocztową.

Bern, miasto niewielkie, czysto utrzymane. Kobiety w ślicznych miejscowych strojach, góry i lodowce dokoła. Cała droga z Zürichu tak czarna, że z nieopisanym żalem zostawiało się za

sobą te miejscowości, żałując, że się nie miało przy sobie nikogo, co by mógł te piękności odrysować. Gdybym była zdrową i silną, zesłałabym piechotą całą Szwajcaryę, zatrzymywała się w każdej miejscowości, która mnie więcej zachwyca, i to-by było rzeczywistą korzyścią i przyjemnością. Tak robią Anglicy; szczerze im zazdroszczę tej swobody — i tej siły — i tego rozsądnego sił użycia.

Szybko przejechaliśmy do Lozanny. Tu jeszcze piękniej, bo miasto leży wśród najwspanialszych ogrodów nad Lemanem, z drugiej zaś strony w oddaleniu pasmo gór wiecznym śniegiem pokrytych, wszystkie drzewa i krzewy w kwiecie.

Do Genewy udaliśmy się statkiem parowym.

W grodzie „Obywatela Genewskiego“ rozchorowaliśmy się oboje z mężem na zapalenie gardła. Miasto, jakiego jeszcze nie widziałam, — położenie cudowne. Z okien mieszkania w hotelu nad jeziorem widok na Montblanc. Na początku Maja upał już nie do zniesienia; w pokojach bukiety z róż i wspaniałych ogromnych fijołków; w środku Maja bywają już i wiśnie.

Po wyleczeniu się z owego zapalenia, zwiedziliśmy miasto. Byłam na wyspie Jean Jacques Rousseau. Miasto prześliczne, tanie, czyste, co krok skład i fabryka zegarków.

Poznałam państwa Henrykowską i Nakwaskich, dobrych znajomych męża, którzy o godzinę drogi od Genewy mieszkają w swej willi. Jedzie się do nich, nie ogrodem, ale rajem. Dom przyjemny, gościnny, on trochę jakiś fantastyk. W Carouge, wiosce pod miastem, odwiedziliśmy synowie mego męża, córki Alexandra. Oboje rodzice ich, są głuchoniemi; biedactwo to wychowuje się tutaj i zdala od swoich. Nie wiedziały jak nas witac i jak nam dziękować za cukierki i owoce, któreśmy im przywieźli.

W Genewie zaprowadził mnie mąż do dawnych swoich znajomych Groplerów, ludzi bardzo zacnych. Nad Lemanem też skończyłam 19 rok życia. Zrana 15 Maja, ledwie otworzyłam oczy, ujrzałam siedzącego przy sobie męża, na stoliku masę kwiatów i cukierków, przed sobą kilkanaście pudełek z prześlicznymi zegarkami i brylantowymi garniturami; na wybór zaś mój wyciekiwał w drugim pokoju właściciel tych skarbów. Z nieopisaną wdzięcznością i rozrzewnieniem podziękowałam mężowi za pamięć i na usilne jego prośby wybrałam najskromniejszy zegarek za 130 franków, nie chcąc zupełnie się dotykać rzeczy zbyt kosztownych, z którychbym korzystać nawet nie mogła.

We dwa dni później wieczorem siedzieliśmy już w karecie pocztowej, która nas dowiozła do Dijon; ztamtąd korzystaliśmy już z kolei żelaznej.

D. 25 Maja. Dawne swoje mieszkanie zastałam już zajęte: stoimy na Rue d'Antin, hôtel des Etats-Unis. Panna moja pocziwa jest przy mnie; oczekiwała mnie na kolei. Kucharza już nie zastałam; zabrał go hr. Działyński, narzeczony ks. Izabelli.

(Dokończenie nastąpi)

LIST Z YOKOHAMA.

Wierna niegdyś czytelniczka wasza, chcę poostać wam wierną i — w Yokohama.... Losy zaniosły mnie tutaj, jak ten liść, który gdy raz z drzewa swego zerwanym zostanie, nie wie gdzie już spocznie, przez każdy nowy podmuch wiatru kędys dalej pędzony. Niegdyś jechać, naprzykład, do Anglii, do Londynu — za morze... wydawało mi się podróżą jakąś ogromną, a teraz oto piszę do was względnie jak z innego jakiegoś świata i nie wydaje mi się, aby to tak było — może z przyczyny, że myśl moja często skrzydła bierze, aby lecieć do was, i rzadkim jest dzień, abyśmy nie mówili sobie z mężem: — Skoro powrócimy!...

A czy wiecie, że teraz, przy coraz to doskonalszej się szybkości statków i nowych liniach dróg morskich można, *via* Vancouver, dostać się ztąd

do Anglii w przeciągu dwudziestu sześciu dni? Więc coś jak miesiąc czasu starczy, aby się znaleźć w Warszawie i przespawszy się, przypuśćmy w Hotelu Europejskim, pójść rankiem i pokłonić się kolumnie Zygmunta, — pójść i w katedrze kłęknać, stopnie ołtarza całować!...

Marzę... marzę... a listy nie tak pisać się powinno. Jesteśmy tu już dwa lata; w drogę puszczaaliśmy się z Londynu a choć od chwili powzięcia tego zamiaru czytałam o Japonii co się dało, wybierałam się tam jak na koniec świata i robiłam takie zapasy dla przyszłości, że nakupiłam sobie w Londynie nawet śpilek do włosów. A co włoszek, nici, bawełny i igieł... co książek!.. W drodze, obok naturalnego uczucia smutku, że znów gdzieś dalej rozbije się nasz namiot wędrowny, przejmowało mnie pewne wzruszenie na myśl życia poza granicami europejskiej cywilizacji. Tałam to przed mężem, ale często gęsto, zwłaszcza w czasie podróży, łza wyknęła się spod powieki; lecz zaraz z pierwszą chwilą przybycia rozproszyły się te trwogi płonne. Do portu Yokohama musieliśmy wpływać bardzo powoli, tak był pełnym statków wszelkiego rodzaju i narodowości. Okręty wojenne wszystkich państw europejskich, wielkie parowce przewozowe, statki kupieckie stały u przystani, a lekki, ciepły wietrzyk rozwijał im flagi. Było to w Maju i dla tego właśnie port był tak pełnym, bo mnóstwo okrętów i bark kupieckich zgromadziło się tutaj, czekając na ładunek wonnej herbaty japońskiej, aby ją potem przez ocean rozwozić do różnych portów amerykańskich. Gdyśmy nakoniec zarzucili kotwicę i łódź przewozowa dowiozła nas do brzegu, wysadzono nas na bardzo ładną esplanadę, która zangielska zowie się: „Bund“. Już to pod względem nazw będę się posługiwała w liście moim angielszczyzną, bo byłoby mi trudno tłumaczyć je na nasz język, zwłaszcza, że rzecz ta już się tu tak utarła, dla Europejczyków szczególnie, że przyjęta jest powszechnie. Anglicy, Amerykanie gospodarowali tu pierwsi i, naturalnie, wycisnęli piętno swoje.

Na Bundzie znajdują się najlepsze hotele, wiele rezydencji prywatnych, najpierwszy w mieście klub, urządzone najzupełniej poeuropejsku, i używający tej sławy, że posiada znakomitą bibliotekę, zasilaną stale wszystkimi znakomitszymi nowościami literatury i pismami peryodycznymi, zwłaszcza angielskimi. Wogóle wszystko, co nas tu powitało, było takim, że zdawało mi się snem. Gdyby nie Japończycy w swoich różnobarwnych kostiumach narodowych i brak europejskich dorożek, które zastępowały japońskie: „jinrickshaws“ mogłabym myśleć, że się znajduję w jakimś angielskim mieście nadmorskiem. „Jinrickshaw“ piszę angielską ortografią, jak się tu według niej wymawia.

Mnóstwo japońskich niskich powozików, zaprzężonych kucykami, przejeżdżało mimo, wioząc elegancko ubrane panie i zdrowo wyglądające, rumiane dzieci, co rozweseliło mi nietylko oczy, bo podczas przystanku w Singapore i w Hong-Kong smutno było patrzeć na przecignięte, blade twarze Europejczyków, tu zaś nie było widać ani śladu tego znużenia, które tam klimat na nich wywiera. To też z dobrą otuchą w sercu napiliśmy się w „Grand Hôtel“ wybornej herbaty, przyrządzonej i podanej nam całkiem na sposób europejski i z europejskimi przekąskami, tak zupełnie, jak gdybyśmy przebywali dotąd w Londynie. Budynek sam jest wcale ładny i wygodnie urządzone, a ogromny; przecież nie zatrzymując się tu dłużej, wzięliśmy zaraz „jinrickshaw“ i drapiąc się, gramoląc mozolnie pod strumą wzgórzystości, zwaną „Camp Hill“ — wzgórze obozowe, do czego zapewne miejsce to służyło przy pierwszym lokowaniu się tutaj Anglików — dostaliśmy się na obszerne, pięknie utrzymaną wyniosłość, naktorej wznosi się angielski szpital marynarzy. Znaleźliśmy się teraz w dzielnicy zwanej „Bluff“ co na polskie można tłumaczyć: Strome, urwiste wybrzeże. Tu mieszkają prawie wszyscy zamocniejsi Europejczycy, nie wyjmując ambasadorów, konsulów, mających tu swoje apartamenty prywatne. Na „Settlement“, co znaczy: „osada“, „kolonia“, — które to miejsce rozciąga się szrokiem przestrzenią u stóp Camp Hill, — znajdują się wszystkie

europęjskie biura, kantory, sklepy—wszystko, co jest handlem, interessem tu ma ognisko swoje; ale życie domowe, rodzinne skupia się na wzgórzystej tej wyniosłości, gdzie powietrze jest bardzo czyste i zdrowe. Już to samo dowodzi, że gospodarowali tu najpierw Anglii i z ich plemienia idący osadnicy, bo żaden naród tak nie rozumie znaczenia tych rzeczy, jak oni—żaden naród nie jest też czerstwiej zdrowym, mocniejszym, więc skrzętniejszym i energiczniej czynnym, i bardziej przedsiębiorczym, co się nigdy nie udaje słabowitym charłakom.

Wszystkie domy tej dzielnicy można nazwać pięknymi — rozmaitość w stylach i budowie jest wielka; lecz wszystkie mieszczą się jednakowo w ogrodach, wytwornie wdzięcznych, bo pod tym względem Japończycy są mistrzami, i nigdzie chyba krajobrazy ogrodowe nie dochodzą do tej piękności. Najczęściej jest to miniaturowy niby-lasek: „Fuijyama“ a w każdym jest mały stawek — jeziorko dla złotych rybek, między którymi znajdują się bardzo ciekawe i piękne gatunki z ogonkami, rozciągającymi się jak wachlarze. Dom, który uczyniliśmy naszym, jest w gęście indyjskiego „bungalow“ z parapetowymi okno-drzwiami, otwierającymi się na obszerną, piękną werendę. Ogród jest, jak wspomniałam wyżej, jakimś ślicznym gaikiem i wiosną cały kwitnie od jaśminów, azalei, kamelii, które tu, w rodzinnym swym klimacie tworzą drzewiny. Służbę też mamy doskonałą; szczególnie w jednym kierunku: powiedzieć-by można, że ludzie rodzą się tutaj z osobliwym talentem kucharskim; zato mają mania nazywania każdej potrawy po francuzku, lecz talent wymawiania tak ich znowu zawodzi, że nie można nigdy zrozumieć, o czym mówią.

Wołowina jest tu przewyborna, podobnie jak i baranina, ale barany przychodzą aż z Szangaju, ponieważ brak trawy, brak pastwisk w Japonii nie pozwala trzód hodować. Doliny obsiewane są ryżem; w górach zaś albo są lesisto zadrzewione i zarastają bambusową trzcina, albo się je karczują i oddaje pod uprawę zbożową. O każdej porze roku jest tu niezmierna obfitość jarzyn, jagód, jak maliny, truskawki, poziomki, obfitość owoców: przepysznych gruszek, sliwek, fig, brzoskwiń i t. d., przyczem znajdują się jeszcze nam nieznane, nierodzące się na europejskim gruncie. A jaka tu kukurydza, co drobiu i jaj! Zwierzęzy też mnogość ogromna: dzikich kaczek, przepiórek, bekasów, słomek, saren. Podobnie i ryb: łososie, stokfisz przychodzą ze stron północnych, a służba — jak już wspomniałam — niewymownie do wszystkiego chętna a tak wesoła, że gdy im się oznajmi, iż będzie jaka zabawa wieczorna lub goście na obiedzie, krzątają się rozochoce, a wszyscy zawsze ubrani czysto, aż miło patrzeć. Już to bywa tu służba owa bardzo liczna, tak liczna, jak unas za dobrych czasów, i mieszkanie ma zawsze osobne, w budynku oddzielnym, w głębi podwórza. I tam też znajdują się kuchnie; układ to coś jak po naszych dworach wiejskich i, jak po dworach naszych, kucharze tu tylko mężczyźni, zawsze w białym jak śnieg birecie i w białym kaftanie. Miewa też zawsze pomocnika płci swojej, podobnie przybranego. Lokaj, zwykle chłopiec młody, obowiązany jest przy nakryciu stołu przybrać go kwiatami, z czego wywiązuje się zwykle z wielkim gustem, bo tu w szkołach ludowych uczą dzieci, jak należy układać bukiety, a według przepisu rzadko mieści się w jednej wiązance więcej, niżeli dwa gatunki, a często jest ona cała jednolita, na przykład z róż, z lilii samych. Oprócz wazonów, kwiaty mieszczą się w koszach, wiszących na ścianach, dodać trzeba, tak też drewnianych, jak po naszych starych dworach wiejskich.

Jest tu zwyczajem, że każdy zaproszony w gościnę, bierze ze sobą, swego lokajczyka, co sprawia, że służby nie braknie i gospodyni nigdy się o to kłopotać nie potrzebuje, aby gość był dobrze obsłużonym, a co więcej, każdy tu ma wszystko, jak u siebie, więc tak, jak lubi, jak się przyzwyczaił. Przy wielkiej obfitości płodów natury i wzorowym gospodarstwie Japończyków jest wszystkiego w bród; ztąd życie i przyjęcie gościa jest bardzo łatwe, więc też cnota gościnności kwitnie tu, powiedziałabym znów tak, jak u nas niegdyś. Przyjęcia, obiady prośzone bywają bardzo częste

i szczególnie w czasie gorących miesięcy letnich należy to do najmilszych przyjemności europejskiego towarzystwa Yokohamy spędzać w wybranem gronku kilku osób poobiednie godziny na werendzie przy łagodnym świetle kolorowych latarni i rozmowie swobodnej. Jedyną plagą takiej chwili są uprzykrzone i silnie kasające komary tutejsze, moskity, ale od tego jest wonny dymek cygar i cygaretek, aby je trzymać zdala od siebie.

Aby skończyć z domowym porządkiem, dodam tu jeszcze słówko o japońskiej garderobianej: „Omah.“ Jest to zwykle młoda, zgrabna, zręczna osóбка i moja odpowiada w zupełności temu rysopisowi — blondynka, mówiąca płynnie po angielsku, jak tu wszystka służba, która się chce dostać na „Strome wybrzeże.“ Małemi, cienkimi paluszkami posługuje się ta omah wybornie: czesze i trefi włosy, jak wróżka, podobnie ubiera, a szyje i kraje z zadziwiającą zręcznością. Zmysłność Japończyków jest niesłychana, zdolność naśladowania taka, że zdaje być czarodziejstwem. Daj Japonce jaki chcesz haft, jaką chcesz suknię, ubranko: a siadnie ci nad tem cichutko, jak myszka, i tak będzie przykładac miarę, zdejmować formę, przyglądać się wzorowi, aż ci to wszystko odtworzy bez różnicy najmniejszej, i to tylko zastrzedz sobie musisz, aby przypadkiem nie znalazły się na nowej rzeczy znaki znoszenia starej, aby nie porobiła plam, rozerwani, uszkodzeń wzoru. Jeżeli przecież wytłumaczysz jej o co ci chodzi, mrugnie skośnemi oczyma i odpowie: — „Very well!..“

I będziesz miała wszystko rzeczywiście: Very well... Takich cierpliwych, doskonałych kopistów na świecie całym nie znajdziesz; czy-byś nie pragnął czegoś innego jeszcze od ludzi, wśród których żyjesz?... to inne zupełnie pytanie. Naśladować sami siebie od wieków, a teraz Europa przedstawia im się, na nieszczęście, jako wzór nowy. Ducha europejskiego w siebie nie biorą, tylko, jak maszynki do kopiowania — najdoskonalsze na świecie, — naśladowują. A że wogóle panuje wśród nich, tak u mężczyzn, jak u kobiet, wielkie zamiłowanie stroju, elegancji; że wszystko w koło nich tehać tem musi: więc tedy przestrajają się na gwałt i aż żal patrzeć, jak się szpecą, jak się śmiesznymi czynią w tej maskaradzie europejskiej.

Moja omah jeszcze, na szczęście, tem nie grzeszy. Stroić się lubi, jak cały jej naród, i jak tylko coś grosza sobie zarobi, zaraz na swoich wysokich patynkach z drewnianymi korkami, drepcze drobnymi kroczkami do bazaru, który zasłużył sobie u niej na opinię dobrego gustu, aby kupić tam jaką piękną „obi,“ to jest szeroką szarfę jedwabną, którą koło drobnutkiej swej kibiści wiąże, i jest wesoło zadowoloną z siebie. Oboje z mężem nazywamy ją między sobą myszką, bo młode Japonki, czynne i ruchliwe, sprawiają ogólnie wśród domowego ruchu takie wrażenie. Za to umieją cierpliwie siedzieć i pilnie coś robić ze wzorem przed oczyma!..

(Dokończenie nastąpi)

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

HYGIENA WZROKU

według

Dr a Ks. Gałęzowskiego.

Już od dawniejszego czasu zamierzaliśmy zająć się higieną oka w naszych pogawędkach; stawały nam jednak na przeszkodzie różne okoliczności, które wszakże dla łaskawych czytelniczek bynajmniej nie wyczerpały na niekorzyść, gdyż dziś posiłkować się możemy w naszej pracy nowo wydanem dziełem znakomitego współziomka naszego, profesora okulistyki w Paryżu, D-ra Gałęzowskiego, cieszącego się we Francji wielką powagą i praktyką w chorobach oczu.

Bez wątpienia oko jest jednym z najcudowniejszych przyrządów w organizmie człowieka, zarówno pod względem budowy jak i czynności, którą wykonywa: widzenia. Musielibyśmy o wiele przekroczyć zakres zamierzonej pracy, gdybyśmy zechcieli szczegółowo opisywać budowę anatomiczną i fizyologią oka, do których zresztą niezbędne są wiadomości z anatomii i optyki: ograniczamy się więc tylko na podaniu schematycznego przecięcia oka z objaśnieniem jego części składowych:

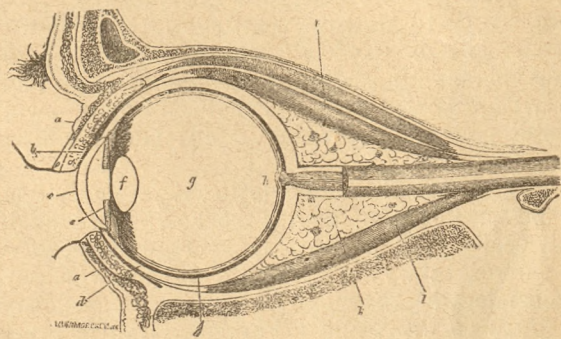


Fig. 1. Schematyczne przecięcia oka.

a, skóra powiek — b, łącznica oka wyściełająca wewnętrzną powierzchnię powiek i część gałki ocznej — c, rogówka przezroczysta — d, twardówka albo białkówka — e, tęczówka — f, soczewka, zadaniem której jest akomodacja wzroku, a która skutkiem katarakty staje się nieprzezroczystą — g, ciało szkliste — h, nerw wzrokowy i siatkówka — i, siatkówka — j, naczyniówka — k, oczodół — l, mięśnie zewnętrzne oka poruszające gałkę we wszystkich kierunkach.

Oko ludzkie wystawione jest bezustannie na różnego rodzaju szkodliwości, a zaczynają się one od chwili przyjścia na świat. Zapalenie oczu u noworodków jest jedną z najczęstszych przyczyn ślepoty.

Dziecko skutkiem choroby matki, zazwyczaj t. z. *fluor albus*, przynosi ze sobą na świat ropne, bardzo niebezpieczne zapalenie błony łącznej oka.

Dawniej przypisywano powstawanie podobnego zapalenia oczu takim szkodliwym wpływom, jak: zimno, światło, uszkodzenia traumatyczne, zwłaszcza skutkiem nakładania kleszczy i t. p.; i dziś nawet jeszcze bardzo wielu uważa wpływy te za przyczynę. Przesady w tym względzie matek i akuserek są głęboko zakorzenione, a wskutek tego liczba ociemniałych jest o wiele większą, niż-by być mogła, gdyby nie te przesady właśnie. One-to sprawiają, że dziecko nie bywa leczone we właściwym czasie, lub nawet w zupełności pozbawione jest pomocy lekarskiej.

Zazwyczaj pierwsze objawy występują trzeciego dnia po urodzeniu, niekiedy wcześniej, już drugiego, czasami znów dopiero piątego, co zresztą zależy od odporności łącznicy oka dziecka. Według danych statystycznych zapalenie u noworodków do ogólnej sumy ociemniałych dostarcza 30%. Jest więc cierpieniem bardzo powszechnem i potrzeba używać wszelkich środków zapobiegawczych, aby je, oile możliwości, ograniczyć.

Zadaniu temu jedynie lekarze mogą zadosyć uczynić, mianowicie przez usunięcie owego *fluoru*, co przy stosownem leczeniu prawie zawsze osiągnąć się daje. Po przyjściu dziecka na świat, jeżeli tylko jest podejrzenie powstania choroby oczu, przystąpić należy bezzwłocznie do przemycania płynem antyseptycznym, najlepiej kwasem bornym (roztwór w wodzie bardzo słaby). Jeżeli wystąpi zacerwienie łącznicy lub ropienie, obecność lekarza-specjalisty staje się nieuniknioną. Wezwać go potrzeba jaknajprędzej, wszelka zwłoka może narazić dziecko na zupełną utratę wzroku. Zapalenie ropne, jeżeli jest zaniebane lub źle leczone, stanowi chorobę bardzo niebezpieczną: sprowadza ślepotę.

Sposoby leczenia są różnorodne; wszystkie jednakże zasadzają się głównie na środkach antyseptycznych. Ponieważ bez lekarza niepodobna ich przedsiębrać, nie będziemy ich przeto wymieniali; powiemy tylko, że jednym z najlepszych środków, a nawet stanowczo najlepszym, jest azo-

tan srebra, rozpuszczony w wodzie w stosunku 1:40. Pędzluje się nim łącznie dwa razy dziennie. Posiada on w wysokim stopniu własność niszczenia nadzwyczaj obficie rozwiniętych pasożytów w wydzielinie ropnej.

Prócz tego leczenie dopełniać się winno przemywaniami, które wykonywa się kilka razy dziennie wodą, rumiankiem lub płynem antyseptycznym (najczęściej kwasem bornym) przepisany przez lekarza. Jaknajwiększą czystość jest rzeczą niezbędną, zarówno dla samego chorego dziecka, jak i ze względu na zaraźliwość tej choroby, którą mogą być dotknięte dzieci i osoby dorosłe. Matki zatem nie powinny chorych dzieci całować, wszelkie naczynia, chustki, płótno, i t. p., używane na kompresy i do przemywania oczu, należy wymywać i wygotowywać w ukropie z dodatkiem kwasu karbolowego. Chore dzieci należy najzupełniej odłączyć od zdrowych i przedewszystkiem uważać, aby ręczniki, gąbki i t. p., które obmywa się chorego, nie były używane przez zdrowych.

Gdy powieki są opuchłe, a ropienie obfite, osoby uskuteczniające przemywanie powinny ostrożnie powieki otwierać, gdyż przy raptownym otwarciu, część wydzieliny chorego oka może bryzgnąć w oko przemywającego, co spowodowałoby zawsze silne zapalenie oczu.

Skutkiem zaniedbania powyższych ostrożności, choroba rozpościera się z jednego dziecka na drugie, a także na osoby dorosłe.

Jeżeli tylko jedno oko dotknięte jest zapaleniem, trzeba starać się, aby zdrowe uchronić. W tym celu dziecko leżeć powinno na stronie chorego oka lub jeszcze lepiej, trzeba zalepić zdrowe oko plasterem i niedopuszczać much, gdyż stwierdzono, że owady te mogą przenosić chorobę z chorych na zdrowych.

W kilka dni po urodzeniu, jeżeli dziecko nie przechodziło zapalenia ropnego lub zostało z niego wyleczone, wypada strzedz je od wpływu czynników szkodliwych, któreby ujemnie podziały na oczy, a temsamem na sprawę widzenia.

Wszystkie organa dziecięce są nadzwyczaj wrażliwe na wpływy zewnętrzne: dlatego pierwsze odbierane wrażenia powinny być, oile możności, jaknajłagodniejsze, najmniej drażniące.

W pierwszych dniach po urodzeniu dziecko instynktownie, w celu uniknięcia zbyt silnego światła, któreby bardzo szkodliwie oddziaływało na delikatne tkanki oczu, zamyka powieki i otwiera je tylko na chwilę, aby, doznawszy nieprzyjemnego wrażenia, co widać po mruganiu powiekami i wykrzywieniu twarzy—zamknąć je znowu na czas dłuższy. Należy przeto chronić oczy, aby nie były wystawione na zbyt silne działanie promieni światła; kolebkę stawiać w miejscu, gdzie niema zbyt wielkiego dostępu światła, osłaniać ją firankami; na powietrzu pokrywać twarz welonem niebieskim, lub zielonym, a nie białym, słowem: chronić oczy od zbyt silnego wpływu światła słonecznego i sztucznego. Zaniedbanie podobnych ostrożności może pociągnąć za sobą zapalenie łązniczy; a na przyszłość oddziaływać szkodliwie na wzrok.

Podobnież zimno i wilgoć szkodliwie wpływają na oczy, i dlatego należy je chronić od tych czynników; mogą one bowiem stać się przyczyną kataralnego zapalenia powiek i łązniczy. To też małych dzieci podczas mrozów nie należy wysyłać z domu, a w razie niezbędnej potrzeby, zabezpieczać je od wpływu zimna.

Dziecko, przyzwyczajwszy się stopniowo do działania światła, rozgląda się po otaczających je przedmiotach: oczy zaczynają pełnić właściwą swą funkcję. Małeństwo przygląda się ciekawie osobom otaczającym i pielęgnującym, zaczyna je rozpoznawać i zdaje sobie sprawę z otoczenia swego przez rozglądanie się i macanie przedmiotów.

Miedzy publicznością panuje przekonanie, że skutkiem wpływów wywieranych przez oświetlenie kołyski z boku, przez przedmioty błyszczące po stronach kołyski, i znamiona na piersiach matki lub mamki, w które wpatruje się dziecko ssące, a wreszcie przez zwracanie bezustanne oczu w jedną stronę — z powyższych względów może się objawić u dziecka zezowanie.

Jest to najzupełniej błędne mniemanie, a dowodzi tego fakt, że dzieci zazwyczaj dopiero około trzeciego lub czwartego roku życia, zaczynają zezować t. j., gdy powyższe wpływy oddawna zostały już usunięte: gdyby więc były szkodliwymi, zezowanie zaczynałoby się daleko wcześniej.

Bywają u małych dzieci niekiedy tak nazwane zęzy wrodzone, spowodowane np. przez paraliż mięśni po przebytych drgawkach (konwulsjach); nadmienić jednakże musimy, iż są to wypadki niezmiernie rzadkie.

Czasami trudne ząbkowanie staje się przyczyną zezów; jest ono tylko krótkotrwałe, przejściowe t. j. znika wraz z ustaniem przyczyny, która je wywołała. Prócz tego zezowanie może brać początek w różnorodnych cierpieniach gałki ocznej.

Najczęstszą przyczyną zezowania jest wada w refrakcyi światła, i przeciwko temu cierpieniu tylko lekarz — specjalista, przy pomocy odpowiednich środków lekarskich wkraplanych w oczy (atropiny, duboisiny, homatropiny) i odpowiednich narzędzi i opatrzeń (zawiazanie zdrowego oka, okulary, przyrząd Cuigneta i t. p.), może zaradzić złemu.

Wreszcie strzedz się należy mamek dotkniętych chorobą oczu; zwłaszcza gdy ta jest zaraźliwą, na jakim skrofalicznym lub innym cierpieniu ogólnem opartą; z tych względów mamki przy najmnijszym podejrzeniu powinny być poddawane ścisłemu badaniu lekarskiemu.

Czystość dla dziecka jest najpierwszym warunkiem zdrowia: dlatego dobrze jest często przemywać oczy czystą wodą przy pomocy gąbki lub kawałka cienkiego płótna. Szczególniej baczną zwracać potrzeba uwagę na czystość w miejscowościach, gdzie nagromadzoną jest wielka ilość dzieci, jak w żłobkach, szpitalach i t. p. Czystym utrzymaniem zapobiedz często można groźnym epidemiom chorób ocznych.

Gdy już dziecko zostało odłączone od piersi, aż do końca drugiego roku życia, wymaga ono również troskliwej zwiększonej opieki; dziecko bowiem skutkiem wykształcenia się oka i temsamem umiejętności posługiwania się niem oddaje się pewnym czynnościom, bawi się. Otóż nie powinno zbyt długo przebywać w sztucznym świetle; najkorzystniej, gdy idzie „z kurami spać.“ Czystość w tym wieku powinna być jeszcze więcej strzeżoną, dziecko bowiem już chodzi, dotyka się rączkami różnych nieczystych przedmiotów: przestrzegać więc należy, aby palcami nie wprowadzało do oczu kurzu, szkodliwych płynów itp.

Ogólny stan dziecka musi być pod ciągłą obserwacją, gdyż często inne choroby (ze wspomnianych tu o skrofalach, drgawkach), mogą szkodliwie oddziaływać na oczy i spowodować zmiany, które nawet po ustąpieniu choroby głównej pozostają na całe życie i osłabiają wzrok w mniejszym lub większym stopniu.

Po skończeniu drugiego roku dziecko wycofywa się niejako pod bezustanną opiekę matki, szuka już towarzystwa, bawi się z innymi dziećmi bawi się zabawkami, skutkiem czego wystawione jest na uderzenia, upadnięcia i t. p., szkodliwe wpływy. Z ogólnej ilości uszkodzeń traumatycznych oczu 30% przypada na dzieci. Wydarzają się one po największej części skutkiem niedostatecznej troskliwości matek i nianie, nieopiekujących się w należyty sposób swemi lub powierzonymi dziećmi. Pozwalają im bawić się nożyczkami, piórami stalowymi, łukami, fuzyami i t. p. Z podobnych powodów wydarza się często utrata oka. Doprawdy, niepodobna powstrzymać się od zapytania: dlaczego sprzedawanie zabawek mogących szkodliwie oddziaływać na oczy, a więc na najcenniejszy zmysł, wzrok, nie jest zabronione — podobnie, jak sprzedawanie zabawek kolorowanych farbami trującymi?

Nadchodzi chwila, w której dziecko zaczyna się uczyć, uczęszczać do szkoły, a więc przez przeciąg lat piętnastu będzie, jeżeli tak można się wyrazić, pracowało bezustannie oczami. W szkole wzrok podlegać może bardzo wielu złozeniom, i dlatego poniżej powiemy o tym przedmiocie obszerniej; tu tylko dodać musimy, że we wszystkich krajach ucywilizowanych zajmują się kwestyą przeciążenia pracą umysłową w szkołach (*surmenage intellectuel*), co niezmierny ma wpływ

na oczy, powstają albowiem skutkiem przeciążenia nauką bardzo często krótkowzroczność i inne cierpienia.

W początkach najwłaściwszą metodą nauczania jest freblowska, oparta na zasadzie: uczyć, bawiąc. Później z korzyścią stosować można tak zwaną metodę poglądową, nie ucząc jeszcze ani czytania ani pisania. Dopiero z rozwojem wzroku można zaczynać powyższe nauki; w zbyt bowiem wczesnym wieku mogą one osłabić siłę akomodacyjną oka, co później staje się wadą wielce nieprzyjemną i nie pozwala już obywać się bez okularów.

Następuje chwila wybrania zawodu. Zazwyczaj kierujemy się w tej, tak ważnej na całe życie sprawie, upodobaniem dziecka, ogólnym stanem jego zdrowia, własnymi gustami swemi, konwensansem; ale nikomu nawet przez myśl nie przechodzi zbadać jego oczu. Tymczasem należy bezwarunkowo zbadać wzrok, podobnie, jak zwracamy uwagę na inne względy, a dokonać tego może jedynie lekarz-specjalista.

Ileż-to razy zaniedbanie tego spowodowało zwichnięcie kariery na całe życie; ile ciężkich zawodów doznało zarówno dziecko, jak rodzice nieogłędni!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Nowa szkoła rzemieślnicza dla kobiet została otwarta w mieście naszym d. 14 Stycznia przez p. Tokarzewską. Osobistość założycielki poręcza, że zakład rozumnie i sumiennie prowadzonym będzie. Podobną szkołę otworzyła w Piotrkowie pani Piaszczyńska; programat obejmuje ośmnaście rzemiosł kobiecych. Opłata miesięczna rs. 4.

— P. Józefa Biegańska, która przed dwoma laty ukończyła w Zürichu studia farmaceutyczne, a następnie składała w Uniwersytecie Kijowskim examen na prowizora aptecznego, zadzierżawia w Warszawie aptekę, na której czele stanie. Na naukę przyjmowane będą wyłącznie kobiety. Drugą kobietą, poświęcającą się unas aptekarstwu, jest p. Justyna Żołyńska. Ta kształciła się do zawodu swego w Antwerpii i zamierza praktykować na prowincyi, gdzie pragnie nabyć aptekę na własność. W Hollandyi oddawna już, we Włoszech od lat kilku, zajmują się kobiety aptekarstwem, ale tak w jednym, jak w drugim kraju, niemal wyłącznie po wsiach, lub w małych miasteczkach.

— Hr. Marya Potocka z Wysokiego Litewskiego zamierza wysłać na wystawę paryżką okazy gospodarstwa zbożowego. Gospodarstwo rolne w dobrach tej pani należy, obok gospodarstwa hr. Ludwika Krasieńskiego, do najbardziej postępowych i wzorowo prowadzonych gospodarstw w kraju.

— Hr. A. Ożarowska, właścicielka posiadłości Brzeża, w Powiecie Kozienickim, założyła w tejże miejscowości szkołę dla dziewcząt wiejskich, gdzie obok nauki według obowiązującego programu szkół ludowych, uczyć się będą szycia i innych robót kobiecych, oraz gospodarstwa domowego. Nauczycielką i kierowniczką szkoły na której nazwisko wydany został patent, jest p. Anna Obarska. Z chwilą otworzenia szkoły (d. 10 Grudnia z. r.), zgromadziło się w niej uczennic 50 i niewątpliwie przybędzie ich jeszcze, bo szkoła ta, obok przepisanej nauki elementarnej, przysposabia uczennice do przyszłego zawodu ich życia, co pod kierunkiem nauczyciela osiągnięciem być nie może. Hr. Ożarowska spełniła dobry uczynek obywatelski, bo takie przygotowanie dziewczyn wiejskich do rozumnego gospodarstwa domowego, to cywilizowanie wsi. Przypuścić trzeba, że oświeca się tam uczennice i pod względem higieny życia domowego.

— W *Kaliszaninie* odezwał się do kobiet głos, wzywający je o zachowanie przed zagładą czasu ubiorów ludowych stron tamtych. W okolicach zbliżonych do Niemiec, a nawet w całym kraju, cheiwi zarobku handlarze podsuwają odzież miej-

ską—brzydką, tandetną, która przeciw z krzywdą dla charakterystycznych ubiorów swojskich rugować je zaczyna coraz więcej. Powstrzymać tego trudno, a nawet niepodobna, a przecież, jak tłumaczy p. Rafał Lubicz—„obowiązkiem być powinno zachowanie tej właściwości naszej, chociażby dla przyszłych pokoleń, dla dobra nauki, dla badań antropologicznych, ludoznawczych.” W tym celu prosi on panie wiejskie: I. o zbieranie w celu zachowania całych ubiorów ludowych. II. o fotografowanie postaci ludowych. III. rysowanie ich i kolorowanie. IV. ubieranie manekinów, czyli lalek. V. przygotowywanie ubiorów miniaturowych—wszystko to z celem przesyłania ich do Warszawy, pod adresem Zarządu Ogrodu Zoologicznego w Bagateli. Powinno towarzyszyć temu: oznaczenie granic miejsca, w którym dany ubiór jest lub niedawno jeszcze był używanym, spis części ubrania i materiałów używanych na nie.

Jeżeli ubiór jest sporządzonym z samodziła, to należy dodać, oile możliwości dokładny, opis jego wyrobu, oraz dołączyć próbki taśm, guzów, szamerunków, spinek, pasów takanych i tym podobnych ozdób i dodatków. Przesyłanie oryginalnych ubiorów jest najprostszą i najlepiej do celu wiodącą drogą, ale sposób to kosztowny, gdy drugostronnie fotografowanie, lub przygotowanie rysunków kolorowanych, może być na wsi mniej łatwym, więc też o wiele przystępniejszą rzeczą byłoby ubieranie lalek na pięć ćwierci łokcia wysokich, bo przy mniejszych pewne szczegóły charakterystyczne nie pozwalałyby się uwydatnić, lub szczie ubiorów na dziecko tej wysokości. Ale potrzebuje to koniecznie materiałów właściwych, przez lud używanych, z dodatkiem wszystkich ozdób charakterystycznych. Autor odezwy podniósł już tę kwestyę w *Wisła*, w zeszytach z Lipca, Sierpnia i Września.

— Siostra miłosierdzia, rodem z Warszawy, Katarzyna Zabawska, znajduje się w missyi katolickiej, wysłanej z Irlandyi do Afryki.

— Francuzkie ministerium oświaty publicznej wysłało kobietę: M-elle Matrat na zwiedzenie w krajach skandynawskich zakładów dzieci nie-normalnych, to jest: ociemniałych, głuchoniemych, idiotów, które we Francyi zostają dotąd wyłącznie pod kierunkiem lekarzy, bez współudziału pedagogów, co przez jednostronność swoją, jest urządzeniem rzeczy wadliwym. Delegatka francuzka zwiedziła wszystkie zakłady takie w Danii, Szwecyi i Norwegii, z czego następnie zdała władzy swojej sprawozdanie, w którym wykazany jest i współudział kobiet nauczycielek w zakładach, o które chodziło. Do naszego *Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych* zgłaszano się po informacje z Włoch, a zgłaszającą się osobą była także kobieta.

— Ozdobiona krzyżem Legii Honorowej pani Koralia Cohen, (nie Karolina, jak było błędnie podanem), ma za sobą zasługę, nietylko wielkiego poświęcenia w pielęgnowaniu rannych żołnierzy w czasie wojny francuzko-pruskiej, ale i bohaterkiej odwagi. Znajdowała się osobiście na polu bitwy pod Borny, gdzie ocalała niejedno życie, zbierając pod strzałami niemieckimi rannych i unosząc ich, aby nie dostawali się do niewoli, co działo się gromadnie przez wadliwe urządzenie ambulansów wojskowych. Pod jej kierunkiem i współdziałaniem osobistym zdołano przenieść do Metz kilkaset nieszczęśliwych. Nie opuściła ich pod grozą obłożenia i przebywała tam przez cały czas jego trwania, znosząc wszystkie braki i cierpienia, połączone z takim stanem rzeczy. Po zdobyciu miasta przeniosła się do Vendôme, gdzie była wielką potrzebą opieki kobiecej nad rannymi i chorymi. Urządziła co najprędzej wielki ambulans, gdzie przebywała dnie i noce. Po za-

warcu pokoju udała się do Niemiec, aby być opiekunką nieszczęśliwych jeńców i wtedy-to cesarzowa Augusta, obdarowała ją orderem Czerwonego Krzyża i ściskając ręce uczciwej patriotki nazwała: „La grande Française.”

— Żona prezydenta Francyi, M-me Carnot, otrzymała od arcybiskupa Paryża, Mgr Richard, przy dorocznej wizycie pasterskiej w Pałacu Elisee w dzień Nowego Roku, słowo uznania i pochwały za jej poświęcenie w zajęciu się nędzą klas ludowych i uczynki miłosierdzia chrześcijańskiego.

— Akademia Francuzka udzieliła kobietom dzieł palm akademickich, wszystko w dziale sztuki, śpiewu, muzyki i teatru. W tej liczbie jest trzy aktorki z „Comédie Française”. Ze przeciw nie mieści się między niemi żaden talent szczególnie wybitny, podniosły się między publicznością głosy przeciw zbyt hojnemu szafowaniu tych nagród, które powinny być odznaczeniem wyższej zasługi z dodatnim wpływem na ogół.

— Kobiety francuzkie z prowincyi Lotaryngii zamierzyły w roku ubiegłym nabyć za pieniądze składkowe sztandar Joanny d'Arc—prawdziwy, autentyczny sztandar z liliami Francyi, który Dziewicaniosła w rękę wiodąc pod Orlean zastępy francuzkie na bój z Anglikami. W ciągu sprawy wiele tysięcy mężczyzn, zwłaszcza z wiejskiego ludu Lotaryngii przyłożyło się do składki i kupioną w ten sposób chorągiew postanowiono złożyć na ołtarzu Matki Boskiej w Lourdes—miejscowości, tak gromadzącej pobożny lud Francyi, jak u nas Częstochowa. Poprzednio przeciw pragniono, aby relikwia droga Francyi została pobłogosławioną przez biskupa miejscowego, co wkrótce nastąpiło i przyczem poprzedziła poświęcenie przemowa, objaśniająca zgromadzonemu ludowi ówczesne stosunki Kościoła Francuzkiego: tej części kleru, który na rozkaz Anglików uznał Dziewicę Orleańską za winną czarów i wskutek tego skazaną na spalenie. Kościół był podówczas w rozproszeniu i gdy Joanna apelowała od wyroku Kościoła Francuzkiego w Rouen, do kościoła powszechnego w Rzymie, nie był on mocnym działać, gdyż Papież był na wygnaniu. Przecież we dwadzieścia pięć lat po śmierci Dziewicy Papież Kalixt nakazał rewizyja processu i zmazał wyrok wydany niesprawiedliwie pod naciskiem Anglików: odwołał obwinienie o herezję i czarnoksiężstwo. Obecnie Kościół zamieści Dziewicę w liczbie świętych i uczyni patronką Francyi, pod nazwą S-tej Joanny z Domremy, lub S-tej Joanny Orleańskiej. Mowa biskupa Nancy została drukowaną i rozeszła się w tysiącach exemplarzy między ludnością.

— Cesarzowa Wiktorya zamówiła w szkole koronek na Szlaku Pruskim, cały ślubny ubiór księżniczki Zofii.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Pan Wołodyjowski Sienkiewicza został przełożony na język hiszpański.

— Dr Adam Ulanowski, organizujący wyprawę do Afryki, wyrusza w drogę w Kwietniu. Wiezie ze sobą za wody tamtejsze szalupę, którą obstałował w Hornach pod Grodnem, w fabryce statków parowych, a która nosić będzie nazwę „Grązyna.”

— Lis w Kurniku komedia Kazimierza Zalew-

skiego, wystawiona będzie wkrótce w Teatrze Rozmaitości.

— W Salach Muzeum Przemysłowego odbędzie się wystawa górnicza w czasie mającego się odbyć zjazdu górników (trzeciego) w mieście naszym.

— Towarzystwo ogrodnicze przyznało na konkursie za długoletnią służbę u jednych państwa nagrodę pierwszą Janowi Łukaszewiczowi za 55 lat spełnianego obowiązku ogrodnika we wsi Chaciszycy; drugą B. Hrycewiczowi za 51 lat takiejże służby w Birzach i Landwerowie.

— Biskupom Krakowskim przyznał Cesarz Austriacki tytuł książęcy. Używać go będzie pierwszy biskup Dunajewski.

— Na jubileuszowej uczcie Karola Brzozowskiego najpiękniejszym i najgłębiej pomyślnym głosem przy spełnianiu toastów, było jak pisał, przemówienie Zacharyasiewicza. W tych czasach właśnie zgorzał w mieście Radymnie dom tego pisarza i znaczny księgozbiór, oraz rękopisma.

— Dwa znane obrazy Jacka Malczewskiego idą z wiedeńskiej wystawy w *Kunstverein*ie na wystawę do Hradcu, a następnie do Pesztu. Na wystawę paryżką wysłany został obraz Matejki: „Pod Racławicami” i Siemiradzkiego: „Szopen u Radziwiłła.”

— Pomnik Sobieskiego, którego wzniesienie we Lwowie uchwalonem już jest od lat pięciu i na wykonanie którego Rada Miejska ma zebranego kapitału 8.000 zł. reń, zajmuje obecnie umysły. Artysta rzeźbiarz, Teodor Barącz wystąpił ze szlachetną ofiarą bezpłatnego wykonania pomnika z kamienia wraz z podstawą, żądając tylko 12.000 zł. reń. Na kosztu materiału i budowy. Podniosły się przeciw głosy, że pomnik, aby był godnym tego, kogo przedstawia, powinien być wzniesiony kosztowniej, bo z jednej bryły kamienia, jakiego kraj nie posiada, lub według wzoru artysty odlanym z metalu, co wszystko przenosi owiele sumę podaną.

— Literackie stowarzyszenie w Pradze wydało podręcznik dla nauki języka polskiego.

— W Wiedniu uczy się 800 Polaków. Z tych na uniwersytet uczęszcza 531.

— Wystawa Paryżka otwarta będzie z pewnością d. 5 Maja. Liczy ona dotąd zapisanych wystawców 43.000, z tych 28.000 Francuzów. Galerye angielskie zajmą więcej miejsca, niż oddziały wszystkich innych krajów. Dla osobiwości tego oddziału należeć będzie fontanna oświetlona elektrycznością, oraz pawilon indyjski, w którym pracować będzie 20 rzemieślników Indyan, wreszcie herbarciarnia cejlońska z obsługą Syngalezów.

— Album celniejszych malarzy europejskich wychodzące w Londynie włączyło w siebie Matejkę, Siemiradzkiego i Krudowskiego.

— Zbior pieśni słowiańskich wydany przez Ludwika Kuba, kompozytora czeskiego w Podjebradach, obejmujący tomów 4, mieści 175 pieśni polskich. Wybór i układ melodyi jest bardzo chwalebny. Można nabywać każdy oddział osobno.

— Akademia języka powszechnego, czyli Volapuku ma zostać wzniesiona w Szwajcaryi w Freiburgu. Jakiś Amerykanin, Albert, złożył na ten cel półtora miliona franków.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Obiór Zoroastra (wiersz) przez J. Nitowskiego. — Serce i głowa przez Maryą Ilnicką. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Dziennik Zofii Komierowskiej. — List z Yokohama, przez Maryą Ilnicką. — Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej. (hygieny wzroku) według D-ra Ks. Gałęzowskiego. — Kronika działalności kobiecej przez Maryą Ilnicką. — Z bieżącej chwili przez M. Ilnicką. — Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 18 Января 1889 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.